

Bronisław Wildstein: Mamy szansę na odtworzenie utraconego porządku kultury

W III RP mocno lansowano tezę, że do obalenia komunizmu dążyli zarówno ci, którzy walczyli z komunizmem jak i ci, którzy ten komunizm tworzyli. Dlatego, że ci drudzy starali się uczynić go bardziej ludzkim, dzięki nim nie było tak strasznie, nie zabijano masowo ludzi itd. Ta relatywizacja doprowadziła do uniemożliwienia nazwania czegokolwiek – mówi Bronisław Wildstein w wywiadzie, jakiego udzielił Bartłomiejowi Adachowi dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Machiavelli – twórca III RP?

Bartłomiej Adach (Teologia Polityczna): Czy Pańskim zdaniem można dyskutować o jakiegokolwiek realnej filozofii polityki wśród kolejnych opcji rządzących po transformacji ustrojowej w Polsce po 1989 roku? Czy uważa Pan za trafne przyjęcie perspektywy makiawelicznej, traktowanej bardziej jako technikę polityki niż jej filozofię, w odniesieniu do działań elit III RP?

Bronisław Wildstein, pisarz i publicysta: W jakimś sensie to stwierdzenie jest trafne. Analizując i opisując zjawisko, zawsze odwołujemy się do pewnej, funkcjonującej siatki pojęć. Jeśli chodzi o twórców ówczesnej ideologii, można ująć to jako ideologię III RP, z pewnością nie zastanawiali się oni nad tym, do którego klasycznego myśliciela się odwołać czy też jak zbudować nową doktrynę polityczną. Teoria była im potrzebna jako uzasadnienie praktyki politycznej.

A jej podstawowym wyznacznikiem było porozumienie części elit „Solidarności”, wywodzącej się w dużej mierze jeszcze z opozycji przed-solidarnościowej, z postkomunistami. Pierwotnie, przebiegało to dość spontanicznie. Nie przypuszczam, żeby w tym wszystkim był z góry założony plan. Komuniści zaczęli orientować się, że w każdym sensie bankrutują. Na początku 1989 r., na plenum partyjnym ówczesny pierwszy sekretarz – Mieczysław Rakowski – powiedział: „Panowie, musimy sobie powiedzieć, że zbankrutowaliśmy”. Miał na myśli ekonomię. Nastąpiło wówczas zawalenie się gospodarki PRL, a szerzej ekonomii komunistycznej. Było jasne, że trzeba dokonać fundamentalnych zmian, żeby gospodarka i państwo mogły w ogóle funkcjonować. Dla komunistycznych liderów było to już oczywiste.

Druga sprawa to fakt, że już wtedy wiedzieli oni, że nie mogą liczyć na pomoc sowiecką. System komunistyczny w Polsce utrzymywał się wyłącznie z tego powodu. Groźba sowieckiej interwencji powodowała, że społeczeństwo polskie nigdy nie powstało na skalę masową. Miały miejsce lokalne, rozpaczliwe bunty, jednak nie nastąpiło masowe powstanie. Nawet jeśli chodzi o stan wojenny, to można zapytać czy Jaruzelski zwyciężyłby, gdyby nie świadomość siły Związku Sowieckiego, który w sytuacji próby zmiany systemu czy choćby mocniejszej korekty, jak na Węgrzech czy w Czechosłowacji, a interweniuje zbrojnie z wszystkimi tego konsekwencjami. O tym, że groźba ta jest już nieaktualna władze PRL wiedziały dużo wcześniej niż społeczeństwo.

Postanowiły więc spróbować dogadać się z opozycją, zwłaszcza z tą częścią, która była bardziej skłonna do porozumienia, usiłując podzielić się odpowiedzialnością. Pierwotnie w ogóle nie było planu oddawania

władzy. Podobne projekty w systemie komunistycznym funkcjonowały już wcześniej. Po wojnie powstawały rodzaje rządów koalicyjnych, np. w Czechosłowacji czy do pewnego stopnia w Polsce, gdzie formalnie do władzy dopuszczono partię Mikołajczyka itd. Potem „urwano temu łeb” i wprowadzono system totalitarny.

Częściowe ustępstwa można więc uznać za charakterystyczny wybieg komunistów, który służyć miał przeczekaniu trudnego czasu, rodzaj „NEP-u”, aby w sprzyjającym momencie odzyskać pełnię władzy. Pierwsze propozycje w kierunku opozycji polegały na tworzeniu wspólnej listy i oddaniu jej części mandatów. Oznaczało to *de facto* całkowite jej sparaliżowanie poprzez wciągnięcie do władzy. Na to opozycja w tamtym czasie się nie zgodziła, a sytuacja nabrzmiewała coraz bardziej.

Władza wiedziała o jeszcze jednej rzeczy, a społeczeństwo tylko do pewnego stopnia. Meldunki esbeckie, do których dostęp miała nomenklatura, mówiły że narasta bunt młodego pokolenia robotników i studentów, którzy nie mieli za sobą traumy stanu wojennego. Zatem groźba powstania była obecna. *Nota bene*, liderzy „Solidarności” również mieli jej świadomość i mogli obawiać się, że ta fala zagrozi ich pozycjom.

W każdym razie, „okrągły stół” był jeszcze próbą takiego mocowania się opozycji i władzy. Generalnie rzecz biorąc jego postanowienia z perspektywy oczekiwań „Solidarności” były osiągnięciem, chodzi o zalegalizowanie „Solidarności” czyli stworzenie przyczółka wolności i wprowadzenie częściowo wolnych wyborów. Nie mieliśmy przecież świadomości, że Sowieci odpuścili już obronę ustroju. Wybory 4

czerwca są niezwykle dlatego, że Polacy w całości odrzucili system. Komuniści przegrywali wszędzie. W efekcie doszło do tego, że tzw. miejsca na listach wyborczych, które były zarezerwowane dla komunistów, również nie zostały przez nich zdobyte.

Zmieniono później reguły gry, na co zgodziła się „Solidarność” – to były pierwsze kroki owego zgubnego porozumienia. Chociażby stwierdzenie Bronisława Geremka – „*pacta sunt servanda*”. Oczywiście, sama maksyma jest absolutnie słuszna – porozumienia zobowiązują. Zastanówmy się jednak, jakie prawo mieli przedstawiciele „Solidarności” do tego, by zawierać w imieniu społeczeństwa trwałe pakt, które będą blokować rozwój demokracji i podmiotowości narodu? Oni go nie mieli, uzurpowali je sobie. Mieli prawo wyłącznie do tego by walczyć o odzyskanie demokracji i podmiotowości społeczeństwa.

Po powołaniu rządu Mazowieckiego następuje straszliwa dekompozycja komunistycznego systemu. Załamuje się partia, jej członkowie przestają płacić składki i w ogóle się spotykać. Opisał to Antoni Dudek w „Reglamentowanej rewolucji”, bardzo precyzyjnie przytaczając dane. Władza niejako leży na ulicy. Ale Mazowiecki wstrzymuje się jednak z jej podjęciem.

Głównym twórcą ideologii III RP jest Adam Michnik. W październiku 1989 r. opublikował w „Wyborczej” artykuł „Jakiej Polski pragniemy”. Głosi tam, że dawny podział na komunistów i antykomunistyczną resztę społeczeństwa skończył się już. Nowy podział przeciwstawia zwolenników Polski otwartej zakompleksionym, katolickim fundamentalistom. To dominujący ton publicystyki Michnika i innych

twórców oraz rzeczników ideologii III RP: nie grozi już nam komunizm, tylko fundamentalizmy. Redaktor „Wyborczej” wymienia dwa ich rodzaje – religijny oraz moralny. Fundamentalizm religijny w tamtych czasach w kontekście Polski jest określeniem dość nonsensownym, ale ma jeszcze chociaż jakieś punkty odniesienia – wiemy, co to jest. A co znaczy „fundamentalizm moralny”? To odwoływanie się do moralności, co Adam Michnik powtórzy jeszcze wielokrotnie. Według niego i legionu jego popleczników demokracja to jest równouprawnienie kłamstwa i prawdy, zła i dobra. Trudno teraz w to uwierzyć, ale takie stwierdzenie zostało napisane wprost. Zasadniczo zmienia się język. W dominującej narracji nie słyszymy o podmiotowości, niepodległości, wolności czy solidarności. Wszystko zastąpiła „transformacja”. Tę doktrynę można implikować z tekstów, z postaw, z zachowań. Natomiast, nie ma oczywiście takiego twardego korpusu teoretycznego, chociaż najbliższe temu są ówczesne teksty Michnika w „Gazecie Wyborczej”.

Machiavelli to odrzucenie uniwersaliów, które powinny być punktami orientacyjnymi. Odpowiednikiem tego w momencie rodzenia się III RP było zakwestionowanie „Solidarności”

Dochodzi do integracji „liberalnej” części dawnego PZPR-u z Aleksandrem Kwaśniewskim na czele z tą „liberalną” częścią opozycji i one wspólnie mają dokonać

transformacji Polski. Nie tworzą jednej partii, chociaż Adam Michnik pierwotnie o tym śnił, ale jednak nie był w stanie do tego doprowadzić. Jednak, te grupy ze sobą współpracują, blokując jakiegokolwiek rozliczenie komunizmu, jakiegokolwiek głębsze odrodzenie społeczne, co

w efekcie umożliwiła uwłaszczenie nomenklatury. Ta współpraca pozwoliła nomenklaturze przejąć kontrolę nad dużą częścią gospodarki czy też stanowisk administracyjnych. Wtedy nie mogliśmy o tym mówić, ani tym bardziej tego rozliczyć – narodziliśmy się w 1989 roku, wszystko, co było wcześniej, ma być zapomniane.

Machiavelli to zakwestionowanie uniwersalnego porządku aksjologicznego, odrzucenie uniwersaliów, które powinny być punktami orientacyjnymi. Odpowiednikiem tego w momencie rodzenia się III RP było zakwestionowanie „Solidarności”, która odwoływała się do twardo postawionych wartości. Nie był to oczywiście ruch fundamentalistyczny, jednak świadomość tych kamieni węgielnych, punktów odniesienia, była bardzo mocna, łącznie ze znaczeniem religii w życiu społecznym. Nie chodziło o to, żeby państwo stało się teokratyczne. To jest w ogóle jakieś nieporozumienie, bo w katolicyzmie właściwie nie ma takiej tradycji.

Jeżeli patrzymy na język „Solidarności”, ruchu opozycji w latach 80-tych, mówił on o wartościach, takich jak wolność, niepodległość, suwerenność, podmiotowość itd. Od 1989 r. wolno było mówić wyłącznie o transformacji. Język stał się techniczny, absolutnie technokratyczny. Ma się dokonać pewien proces, który właściwie jest trochę niezależny od ludzi. Pojawia się kolejna wizja – algorytmów, które zaaplikujemy i będą funkcjonowały właściwie niezależnie od ludzi. To wszystko było podszyte lękiem wobec społeczeństwa polskiego, czemu też dawał wyraz Michnik, ale nie tylko on. Chodzi o rodzaj obawy przed czymś, co można nazwać potencjałem rewolucyjnym, tkwiącym w narodzie polskim, dla którego kołem napędowym byłby wtedy antykomunizm. Mówiło się to wprost – każda rewolucja jest niebezpieczna, należy więc absolutnie tonować te nastroje. W społeczeństwie, które miało przetrącony kark, należałoby raczej pobudzać aktywność, a nie tłumić jej załączki.

Można powiedzieć, że w tym sensie odwołanie do Machiavelliego jest uzasadnione. Florentyńczyk jest bardzo antychrześcijański. W pewnym sensie jest prekursorem Nietzschego – jego teorii chrześcijaństwa jako resentymetu, w którym wartości heroiczne zastąpiono cnotami ludzi słabych. Ten Nietzscheański koncept czasami nieomal wprost możemy wyczytać u Machiavelliego. Dodatkowo u niego cały system władzy to specyficzna technologia, której idee jedynie przeszkadzają.

Czy można zatem stwierdzić, że po 1989 r. żyjemy w państwie normatywnego nihilizmu?

To jest paradoksalne. Z jednej strony ma Pan rację. Ta wizja demokracji jako równouprawnienia kłamstwa i fałszu, dobra i zła etc. jest skrajnie nihilistyczna. Nie ma tak naprawdę nic wspólnego z demokracją. Jest paradoksalna, ponieważ sama siebie podważa, pozbawia się autouzasadnienia.

Zakaz rozliczenia, komunizmu musi być oparty na przesłance nihilistycznej. Samo sformułowanie o wybaczeniu komunistom było karykaturą. Wybaczenie dotyczy win. Po to, żeby wybaczyć, trzeba wcześniej nazwać zło. Tutaj, wybaczenie było zakazem nazwania zła, grzechu i winy. To była totalna parodia. Jak mamy wybaczać komuś, kto nie oczekuje wybaczenia, a my nie możemy ocenić, czy postąpił dobrze, czy źle?

Pojawiła się teza, mocno lansowana w III RP, że do obalenia komunizmu dążyli zarówno ci, którzy walczyli z komunizmem jak i ci, którzy ten komunizm tworzyli. Dlatego, że ci drudzy starali się uczynić go bardziej ludzkim, dzięki nim nie było tak strasznie, nie zabijano masowo ludzi itd. Ta relatywizacja doprowadziła do uniemożliwienia nazwania czegokolwiek. Walczyliśmy o Polskę, którą mamy, jednakowo i wspólnie – jedni siedząc w więzieniu, drudzy je nadzorując. Zakaz używania języka wartości moralnych miał zapobiec pojawieniu się „fundamentalizmu moralnego”.

Co ciekawe, nie wiązało się to z odrzuceniem retoryki moralizatorskiej. Wręcz przeciwnie, obrońcy *status quo* III RP, jak Adam Michnik, używali języka skrajnie moralistycznego, tylko odwracając jego sens. Ci, którzy odwoływali się do elementarnych zasad etycznych, byli odsądzeni od czci i wiary, nazywani najgorszymi słowami i strącani w otchłań. Dobrym przykładem jest propozycja, żeby majątek PZPR-u uzyskany dzięki obrabowaniu narodu został zwrócony. Adam Michnik, będąc w 1989 r. posłem na sejm kontraktowy wygłosił przemówienie, wydrukowane później w „Gazecie Wyborczej” zatytułowane: „Nie będę walczył bronią nienawiści”. Okazywało się, że rozróżnianie pomiędzy złem a dobrem jest nienawiścią. Można tu zauważyć ten aspekt nietzscheański, genealogii moralności – jeżeli ktoś się do niej odwołuje, wynika to z jego nienawiści. Chce sprawiedliwości, czyli kieruje się resentymentem. W tym sensie, z jednej strony zakazywano moralności, z drugiej natomiast zbudowano radykalną, antymoralną moralistykę.

Czy prymat nominalizmu można analizować przy pomocy osi: konserwatyzm-liberalizm?

W jakimś sensie tak. To, co działo się w Polsce, nie mogłoby mieć miejsca w przypadku innego klimatu intelektualnego w Europie. Ten ogólny klimat intelektualny, który kwestionował nie tylko mocne wartościowanie, ale i myślenie, powodował, że chcąc doścignąć zachód kontynentu, imitować go, a to przecież było celem transformatorów, trudno było być wyjątkiem. Inna sprawa, że w III RP to wszystko było zradykalizowane. Na tak radykalną retorykę jak w Polsce, nikt na zachodzie wówczas by się nie odważył.

Pojęcie liberalizmu przeszło ewolucję. Wszędzie na zachodzie to obserwujemy. Współczesny liberalizm radykalnie różni się od klasycznego. Jednak, jeżeli wszędzie widzimy identyczną ewolucję, możemy zadać sobie pytanie, czy to było tylko jakieś dziwne zejście na manowce, czy może też jest to naturalna konsekwencja tego nurtu? Moim zdaniem właściwa jest druga z odpowiedzi. Dawniej liberalizm nie kwestionował podstaw moralnych, etycznych, wspólnotowych, republikańskich, religijnych. Były to fundamenty kultury, z której ten nurt wyrastał. Sądzę jednak, że liberalizm jest ideą pasożytniczą. Mógł wyrosnąć tylko w tej kulturze, ale jednocześnie ją podważał. Jego w gruncie rzeczy atomistyczne podejście do społeczeństwa, które traktowane jest wyłącznie jako zbiór indywidualiów, musi uderzyć w zasady cywilizacji zachodniej. Idea umowy społecznej jako kontraktu jednostek w imię wymiernych korzyści, potraktowana poważnie, podważa jakąkolwiek wspólnotę. Oznacza, że jest ona czysto kontraktualna i obowiązuje tak długo, jak długo niesie wymierne korzyści dla zawierających ją monad ludzkich. Rozsadza jakiegokolwiek republikańskie myślenie o rzeczywistości. W polskim wypadku republikanizm, jest fundamentem konserwatywnej postawy, świadomej tradycji, z której wyrasta. Przeciwny temu liberalizm ma być

wszechogarniającym pluralizmem, równouprawieniem różnych modeli życia oraz porządków etycznych. Równouprawienie takie oznacza zakwestionowanie, prywatyzację porządku etycznego.

Podobnie wygląda sytuacja religii. Kiedy w XVII w. klasycy liberalizmu mówili o jej redukcji do sfery prywatnej, znaczyło to tylko tyle, że państwo nie może narzucać wyznania. Chodziło o to, żeby zapobiec wojnom religijnym. Wcale nie oznaczało jednak, że sfera publiczna nie może być kształtowana przez religię. Wręcz przeciwnie, ona musi mieć podstawę religijną i klasycy liberalizmu to rozumieli. Jednak, konsekwentne rozumienie prywatyzacji religii oznacza to, do czego nawołują liberałowie dzisiaj – redukują jej rolę do sfery zespołu mniemań prywatnych, które nie różnią się od jakichkolwiek innych, np. zdrowego trybu życia.

W tym sensie można powiedzieć, że współczesny nominalizm jest jakąś konsekwencją ideologii liberalnej. Tylko, że trzeba oczywiście zdać sobie sprawę z tego, że to są pewne szerokie prądy. Natomiast, twórcy ideologii III RP myśleli raczej o konkretnych interesach, władzy czy też swoich lękach.

Język jest dominującym narzędziem polityki. Czy w przypadku podejścia nominalistycznego, jesteśmy narażeni na rozpatrywanie jedynie tych kategorii, które charakteryzują się przedrostkiem „post”? Mam na myśli takie pojęcia, jak „postpolityka”, „postprawda” etc. Czy w przypadku braku uniwersaliów możemy mówić jeszcze o czymś, co będzie pozbawione tego przedrostka?

Można sobie to wyobrazić inaczej. Można wyobrazić sobie takie

zakwestionowanie uniwersaliów, które będzie miało w konsekwencji charakter konserwatywny. Popatrzmy choćby na Hume'a. Mamy tu do czynienia z uznaniem, że jako ludzie nie jesteśmy w stanie realnie osadzić naszej cywilizacji na twardych ideach, ponieważ brakuje nam uzasadnienia. Porządek bytu i powinności rozdzielają się. Hume wyciągał z tego wniosek, że w konsekwencji musimy odwołać się do ładu, który tworzony jest przez cywilizację. Jego sceptycyzm prowadził do uznania istniejącego porządku, ponieważ w przeciwnym razie groził totalnym chaosem. Trzeba oprzeć się na tym, co mamy, na tym, co wypracowaliśmy w procesie cywilizacyjnym. To gwarantuje trwanie kultury. Kontynuatorzy tego podejścia istnieją i dziś, np. niemiecki filozof Odo Marquard, który pisze o „rozstaniu z filozofią pierwszych zasad”, a jednocześnie broni istniejącego porządku cywilizacyjnego i nawołuje do konserwatyzmu rozumianego jako najbardziej roztropna postawa. Człowiek jest istotą kreowaną przez kulturę. Jeśli ją zakwestionuje, wówczas pod jego stopami otwiera się otchłań. Zatem można sobie wyobrazić również interpretację tego typu.

Wydawać by się mogło, że wzrost znaczenia demokracji medialnej jest kluczowym czynnikiem, który sprzyja dominacji nominalizmu. Czy zgadza się Pan z tym stwierdzeniem?

Nie zgodzę się. Powiedziałbym raczej, że jest to doskonały instrument, którym posługuje się obecna oligarchia, którą można jakoś uznać za kontynuatorów nominalizmu. Współczesny porządek na całym zachodzie, a zwłaszcza w Europie, jest zdominowany przez ideologię lewicowo-liberalną. Ideologię emancypacji, wyzwolenia człowieka z tradycyjnych form kulturowych. Człowiek jest w niej traktowany jako

samostwarzająca się, niemal boska potencja, której na drodze staje wyłącznie stworzona skądinąd przez niego samego kultura. W tej ideologii jest wiele takich paradoksów.

Oczywiście emancypatorzy sami muszą być wyzwoleni, jeżeli usiłują uwolnić z determinant kulturowych resztę populacji. Jak zawsze rewolucjoniści znajdują się więc w pozycji uprzywilejowanej. Od pewnego czasu głoszę tezę, że przez kilka ostatnich dekad w Europie została przeprowadzona rewolucja. Nie jest ona krwawym przewrotem typu leninowskiego, czy zjawiskiem podobnym do rewolucji francuskiej, ale jest to rewolucja. Odwraca zasadnicze idee, kształtujące nasz porządek cywilizacyjny i uderza w jego podstawy. Taką rolę pełni wspomniana wcześniej emancypacja.

To jest system, który uprawomocnia funkcjonującą dziś oligarchię. Narody zaczynają być coraz bardziej oburzone faktem, iż są ubezwłasnowolnione a ich tożsamość jest coraz bardziej zagrożona. Elity bronią tzw. „liberalnej demokracji” z wszelkich możliwych sił. Każdemu, kto już ma trochę lat życia za sobą, przypomina to pojęcie „demokracji ludowej”. W „liberalnej demokracji” nie mają rządzić wyborcy. Na ostatnim Kongresie Prawników Polskich luminarz tychże, prof. Popiołek, , stwierdził że suwerenem w demokracji liberalnej, którą on nazywał prawną, nie są wyborcy, tylko wartości, co jest zresztą niezwykle słabą metaforą, ponieważ wiemy, że wartości same z siebie mają kłopoty z działaniem i ktoś musi je reprezentować.

Korporacja sędziowska jest istotnym elementem tej oligarchii. Oligarchia współczesna jest władzą rozproszoną, którą reprezentują także ośrodki medialne, ale również inne ośrodki opiniotwórcze,

korporacje czy potężne grupy biznesowe. Jest to taki sieciowy układ korporacyjny. Oczywiście, media są niezwykle ważnym instrumentem, ale to nie jest tak, że one są podmiotem – są po prostu doskonałym instrumentem do realizacji oligarchicznego porządku, który posługuje się ideologią, mającą totalitarne ciążenie.

Jakie dostrzega Pan szanse i potencjalne metody powrotu uniwersaliów do polskiej narracji politycznej?

W tej chwili mamy do czynienia z buntem narodów. Zaczęło się to na Węgrzech i w Polsce, gdzie zostały wybrane te partie, które, zdaniem dominujących elit, nigdy nie powinny objąć władzy. Stało się tak również w Stanach Zjednoczonych, gdzie na prezydenta został wybrany Donald Trump. W Europie ten sprzeciw cały czas narasta. Co prawda, jego możliwości są bardzo ograniczone, bo elity europejskie tworzą w miarę homogeniczny układ. Opozycja ma więc tam najczęściej charakter populistyczny. Nie lubię tego słowa, bo jest ono nadużywane jako stygmat, ale w tym wypadku określenie to jest uzasadnione.

Te procesy pokazują, że nie jesteśmy żadną peryferią, gdyż zaczynają się u nas. Rządy na Węgrzech czy w Polsce są klasycznie konserwatywnie i chcą odbudować porządek ideowy. Odwołują się do pewnych trwałych podstaw, zasad, wartości, do tożsamości narodowej. W związku z tym, nic dziwnego, że wywołują oburzenie rzeczników dominującej ideologii.

Myślę, że mamy wielkie szanse na odtworzenie utraconego porządku naszej kultury. Dużo większe niż zachodnia Europa. To nie znaczy, że jesteśmy skazani na sukces. Siły wewnętrzne i zewnętrzne, które z tym walczą są przemożne.

Szansą jest mozolna odbudowa porządku pogruchotanego przez tę nową ideologię, a u nas jeszcze wcześniej przez komunizm. To jest specyficzny proces o charakterze kontrrewolucyjnym. Trzeba odbudowywać instytucje. Nie wystarczy wymiar *stricte* partyjno-polityczny. W Polsce niestety jeszcze zbyt słaby jest ruch społeczeństwa prawdziwie obywatelskiego, a nie tego, co się nazywa współcześnie społeczeństwem obywatelskim. Dla dotychczasowo dominującej ideologii jest również charakterystyczne zawłaszczanie pojęć i zmienianie ich sensu. W Polsce jest coraz więcej ośrodków prawdziwie obywatelskich, ale to ciągle jest za mała skala. Jestem jednak raczej dobrej myśli, zwłaszcza gdy porównuję naszą sytuację z tym, co dzieje się na zachodzie Europy.

Rozmawiał Bartłomiej Adach